

**TOMASZ**

OSTATNIA  
RZECZPOSPOLITA

# KOŁODZIEJCZAK

**BIAŁA  
REDUTA**

**1**



# Tomasz Kołodziejczak "Biała reduta cz.1"

Jagna Rolska



Tomasz Kołodziejczak

*Biała Reduta*  
Fabryka Słów  
stron: 456  
cena: 39.90

Nowa powieść Tomasza Kołodziejczaka z uniwersum Ostatniej Rzeczypospolitej.

„Biała Reduta” to mistrzowski popis erudycji osadzony w uniwersum Ostatniej Rzeczypospolitej. Tomasz Kołodziejczak podniósł poprzeczkę bardzo wysoko i stworzył powieść dla tych, którzy pragną od literatury czegoś więcej. Cztery różne światy, odmienne społeczności – jedna wojna. Wszechogarniające Zło, by zapanować nad światem, nie cofnie się przed niczym. Stale rodzi się i odnawia z większą siłą w mrocznych przestrzeniach Gehenny. Zarówno w Warszawie, jak i w Zachodnich Kresach Rzeczypospolitej, a także w zagrożonej kolonii na Marsie trwa nieustanne śledztwo i rozpaczliwa próba zbudowania powłoki ochronnej z pomocą zaklęć. Premiera już 5. listopada!

Skażone kraje, zatrute kontynenty, obezwładnione wspólnoty. Getta, obozy pracy, szkoły i parlamenty. Ludzie powtarzający barbarzyńskie hasła. Pędzeni na masówki, gdzie widzą tysiące takich jak oni, wiernych i posłusznych. Zatruwani nieustającym jazgotem ulicznych szczekaczek, nigdy nie wyłączanych kołchoźników czy elegancką propagandą z telewizorów. Straszeni i kuszeni także indywidualnie, w mokrej celi lub eleganckim gabinecie, przez kata albo ministra. Zdradzani przez przyjaciół, małżonków i dzieci tak, by wiedzieli, że nigdzie nie są bezpieczni.

O „Białej Reducie”:

Jacek Dukaj:

Scenografie może zmieniać pod dowolne atrakcyjne konwencje, ale Kołodziejczak nie wymieni sobie mózgu: mimo elfów, balrogów i podniesionych do magicznej potęgi patriotycznych sentymentów, pod powierzchnią świata "Ostatniej Rzeczypospolitej" nadal pracuje oldskulowy generator superlogicznych koncepcji, który mogłyby napędzić wydział fizyki teoretycznej i antologię hard SF.

Andrzej Ziemiański:

W tej książce jest wszystko, za co kochamy literaturę w ogóle. I jak uwielbiam Warszawę, tak wizja miasta z czterema pałacami kultury w tle, sprawiła, że chętnie bym tu zamieszkał by podążać ścieżkami na wskroś warszawskiego Kołodziejczaka i jego bohaterów. Szczerze polecam.

Jarosław Grzedowicz:

Mariaż prawdziwego fantasy z solidnym sf udaje się niewielu. Kołodziejczak jest w tym mistrzem. Wstrząsająca wizja, epicka i jedyna w swoim rodzaju.

Maja Lidia Kossakowska:

Tomkowi Kołodziejczakowi udało się rzecz niezwykła. Stworzył spójne intrygujące uniwersum łącząc znane motywy z nowatorskimi pomysłami i rozwiązaniami.

A co najważniejsze, napisał książkę mądrą, odważną i wartościową, którą pochłania się jednym tchem.

Jerzy Rzymowski - red. Nacz. Nowej Fantastyki

Cykl Kołodziejczaka to niezwykła, autorska mieszanka. Rozmach i bogactwo jego wizji kojarzy się z "Hyperionem" Simmonsa, w nazewnictwie odwołuje się do Tolkiena, a całość osadza głęboko w polskiej tradycji religijnej i patriotycznej. Wrogiem zaś są totalitaryzmy - zarówno czarne jak czerwone - które w jego powieściach mają dosłownie demoniczną naturę.

Marcin Zwierzchowski - Nowa Fantastyka, naEkranie.pl) :

Kołodziejczak wykreował chyba najbardziej oryginalne i najbogatsze uniwersum współczesnej fantastyki, a przy tym najbardziej polskie, bo Polską przesycone. Niesamowite, jak dużo i jak prawdziwie ta historia z elfami, balrogami i magicznymi mieczami mówi o naszym kraju, jak sprawie jej autor uchwycił esencję tego, co tworzy nasz nadwiślański kawałek ziemi.

Zapraszamy do uniwersum Rzeczypospolitej.

„Biała Reduta” we fragmentach:

CAPE CANAVERAL

Znów wysyłamy ludzi na Marsa. Powstrzymujemy ofensywę wroga. Odbijamy terytoria w Europie, przesuując i łamiąc Czarne Horyzonty. Budujemy nową kolej transsyberyjską, wdzierając się coraz głębiej w Czerwoną Mgłę. Odbudowaliśmy Manhattan. Nasze konwoje znów płyną na Hokkaido. Ratujemy miasta, uwalniamy niewolników, stawiamy na powrót nasze znaki na ziemiach jeszcze przed dekadą przeżartych fagową magią. I robimy kolejny krok - wracamy w kosmos, tam, dokąd balrogi dotrzeć nie mogą. Wesprzemy marsjańską kolonię, zaatakujemy wroga z miejsca, gdzie jego moc nie sięga. Odzyskamy nasz świat.

Odliczanie dobiegło końca.

Odgięły się ramiona podpierające rakiety, drony rozpięzły się jak owady odpędzone bijącym spod pocisku żarem i dymem.

Wracamy w kosmos.

Wycieńczony wojną Wolny Świat ponownie zbiera siły, by wzmocnić swój marsjański przyczółek, niezagrożony bezpośrednio inwazją balrogów. Jeśli ten start się uda, wyślemy kolejne rakiety.

To ma być też symbol. Znak dla ludzi na całym świecie, żyjących w grozie i biedzie. Dla tych, którym zaczyna już brakować oddechu i nadziei. Dla wątpiących. Dla walczących. W wolnej Ameryce, w Królestwie Polski, w Twierdzy Barcelona, na resztkach Wysp Japońskich, na archipelagach, w które zmieniły się i Kanada, i Indie. Dla gruzińskich dżygitów, włoskich czerwonych koszul, niedobitków bawarskiego grenzschtutzu, węgierskich huzarów śmierci i wszystkich, którzy stawali przeciw Czarnym.

WARSZAWA

- Mamy ważnego trupa. Właśnie po pana jedziemy - usłyszał w słuchawce Robert Gralewski i już

wiedział, że tego popołudnia nie spędzi tak, jak sobie zaplanował.

Ofiara mieszkała na Anielewicza, w nowym bloku postawionym obok starej szkoły. Fiat podjechał pod budynek, zatrzymał się na tyle tylko, by Robert zdążył wysiąść i zatrzasnąć drzwi. Kierowca nawet nie powiedział „Do widzenia”. Będzie trzeba na to zwrócić uwagę jego przełożonym. Od lekceważenia obyczajów zaczynają się upadki imperiów.

Przed domem już czekał elf w cywilu, ubrany w szyty na miarę garnitur, podkreślający szczupłość, a jednocześnie proporcjonalną budowę ciała. Gładkoczarne jedwabne ubranie leżało wprost idealnie, jeśli nie liczyć wyraźnie rysującego się pod prawą pachą kształtu kabury. Do tego z lewego boku spod garnituru wystawała pochwa miecza wakizashi, od którego aż promieniowało nanokadabrową aurą.

- Witam pułkowniku, miło mi pana znów widzieć - wyciągnął dłoń o smukłych palcach i gładkiej skórze.

Robert widział kiedyś, jak ta pozornie delikatna dłoń chwyta i miażdży pysk szuchamanna, potwora samorzodzonego w warszawskiej ziemi, jak rozrywa cielsko monstrum spojone z cegiel i cieni. Jak ciche słowa wypowiedziane spokojnie wąskimi ustami elfa powstrzymują od zawalenia trzy kamienice, dając ich mieszkańcom czas na ucieczkę. Jak jedno spojrzenie lśniących oczu tłumi ogień, którym szuchamann chciał spalić zapędzonych do piwnic ludzi.

Elf był kuzynem trzeciego stopnia króla Polski i zastępcą szefa kontrwywiadu na Mazowsze, Warmię i Podlasie, przygotowywanym do znacznie bardziej odpowiedzialnych funkcji. Może kiedyś zostanie hetmanem. Ósmy w linii dziedziczenia korony.

Robert uściskał elfią dłoń tak solidnie, jak tylko potrafił.

- Witam pana, kapitanie Barg'O'Dar. Nie otrzymałem żadnych wstępnych informacji.

- Rozumiem, proszę za mną - elf odwrócił się błyskawicznie i ruszył ku drzwiom bloku. Teraz dopiero Robert rozejrzał się nieco i zwrócił uwagę na bezruch panujący wzdłuż całej Anielewicza. Ulicą nie jechał żaden samochód, riksza czy rower, po chodnikach nie przechodzili ludzie, a światła w sklepach i barach na parterach budynków były zgaszone. Za to na kilku dachach i balkonach, pod drzewami i w podcieniach klatek schodowych tkwiły niemal nieruchome sylwetki ludzi i elfów, w cywilu i umundurowanych. Smugi lśniącej mgły pełgały po asfalcie i chodnikowych płytach - to nanokadabrowe enpisy śledcze szukały najmniejszych śladów wrogiej emanacji.

Sprawa wyglądała na bardzo poważną.

## ZACHODNIE KRESY

Kajetan najpierw myślał, że to tylko plotki i baśnie, jakich mnóstwo opowiadano o elfach. Tajemnice. Spiski. Czary-mary.

Potem natrafił na dokument, w którym mowa była mowa o Odrodzonych. Pisanych wielką literą. I o Planie, w którym powracają do życia istoty zamordowane w czasie rytuału przejścia. Ale wciąż wydawało mu się, że to jedynie legenda. Do czasu, gdy trafił do Planu Ręki, osiem lat temu.

Zwykłych ludzi takie miejsca zabijały skuteczniej niż skok spadochronowy bez spadochronu. Nawet nie musieliby tu wchodzić. Wystarczyłoby, że w Planie Ziemi znaleźliby się zbyt blisko tego miejsca i powiedzieli niewłaściwy wyraz, wykonali zakazany gest lub splunęli w złą stronę. Albo - z poszczególnymi Przebiciami bywało naprawdę różnie - założyli tiszert w niewłaściwym kolorze, do podstawówki uczęszczali z nadmierną liczbą brunetów, mieli zbyt owłosione nogi, nie przeczytali właściwej książki.

Istniały Plany, w których ludzie mogli spędzać czas bezpiecznie, zażywać wrażeń i rozrywek, odczuwać nowymi zmysłami i władać magią, zmieniać liczbę posiadanych kończyn lub nawet wymiarów. Jednak same Przebicia - magioprzestrzenie w których przenikały się osnowy dwóch różnych Planów - zawsze były niebezpieczne, bo w nich rzeczywistość trwała tylko czasowo, wciąż przekształcając się w poszukiwaniu stabilniejszych, niżejenergetycznych układów, tak jak atomy w cząsteczkach chemicznych.

## GEHENNA

Dzień zaczął się tak jak wszystkie inne dni w Tutaj - krzykiem i biciem.

Kappy zmaterializowały się jeszcze przed świtem: monstra o szarej skórze i ramionach zakończonych nie dłońmi, ale twardymi pałkami. Pływały wzdłuż prycz wrzeszcząc i tłukąc kogo popadło. Gdy ktoś nie miał siły się ruszyć, po prostu strącały go dziurę znajdującą się w centrum każdego piętra bloku. Ludzie gramolili się więc ze swych prycz i ostrożnie schodzili po stromych drabinach, by jak najprędzej stanąć na ziemi.

Karl wychylił się ze swojej nary, spojrział w dół, trochę mu się zakręciło w głowie, ale nie miał wyjścia. Dostał przydział na poziomie czternastym. Czekala go długa i niebezpieczna droga w dół, szczególnie że odstęp między szczeblami drabiny były zbyt duże dla niskiego chłopca.

Poniżej, na dnie wielkiej studni otoczonej kolejnymi piętrami nar, trwała pokazowa egzekucja.

Pewien vern zbyt wolno skłonił się przed strażnikiem, został więc strącony ze swojego poziomu, tak że leżał teraz na kamiennej posadzce z połamanymi rękoma, a kappy wzięły się do systematycznego bicia. Ich kończyny wydłużyły się jeszcze, nabrały twardości, na gładkich kulach głów wykwitły zarysy oczu i ust, przesuwające się przy każdym ruchu. Strażnicy tłukli ofiarę po plecach i pośladkach, a mężczyzna krzyczał straszliwie, najwyraźniej niektóre ciosy spadły na jego jądra. W tym czasie pozostali mieszkańcy bloku 1471 w dystrykcie Kłosa regionu Kary, pośpiesznie ścielili swe posłania - próbując idealnie wygładzić brudne, postrzępione koce i wypchane trawą poduszki. Nim skowyt porannej ofiary ucichł, wszyscy klęczeli na wąskich podestach przed swoimi pryczami, wspierając prawą dłoń o podłogę, lewe ramię zakładając. Pokora i poddanie.

## MARS

Perkins stanął na szczycie wydmy i mrużąc oczy podniósł osłonę przeciwsłoneczną hełmu.

Pod płowym niebem czerwona pustynia ciągnęła się po horyzont. Warstwa regolitu była cienka, wystarczył mocniejszy podmuch wiatru, by odsłonić brunatną skałę. Błyskały mikowe iskry, a łachy pyłu przewalały niczym cielsko wielkiej płaszczki. Teren lekko się wznosił, tu i ówdzie sterczały kostropate ostańce, a pod ich osłoną gromadziły się pryzmy małych kamieni.

Udało się! Będzie żył!

Jakieś dwieście metrów przed Perkinsem wyrastała kratownica radiolatarni, wyglądająca niczym miniatura wieży Eiffla. U jej podnóża zalegały kupy piachu, ale sam maszt wydawał się nieuszkodzony. Dawno zdemontowano z niego i wykorzystano w mieście wszystkie elementy, które nie były niezbędne do prawidłowego funkcjonowania, takie jak nocne lampy ratunkowe, osłony kabli, nadmiarowe pręty konstrukcyjne.

- Dotarłem do latarni - powiedział Perkins, nie za bardzo już wierząc, że ktoś słyszy jego meldunek. Ale taka była procedura. Jeśli masz tlen, gadaj, bo może ktoś cię jednak usłyszy i przybędzie z pomocą. Braku tlenu się nie bał - w podstawie akurat tej wieży znajdowała się komora awaryjna, a w niej wciąż przechowywano baniak z wodą i działającą butlą. Kiedyś w radiolatarniach trzymano także agregaty pozwalające wytarzać tlen z regolitu ale i te dawno wywieziono.

Sprężystym krokiem, jakby nie miał za sobą dwudniowej wędrówki przez pustynię, ruszył w stronę budowli. Tam poczeka na pomoc. Nawet jeśli nadajnik wieży jest zepsuty, to zgodnie z procedurą najpóźniej w ciągu trzech, czterech dni pojawi się tu patrol remontowy. A tyle zdoła przetrwać bez jedzenia, najwyżej będzie mdał z głodu. Byle nie zabrakło wody i tlenu.

Ratunek był blisko.

Tomasz Kołodziejczak - (1967) to jedna z najciekawszych postaci polskiej fantastyki i komiksu, pisarz, wydawca, promotor kultury. Literacko debiutował w 1985 roku, opublikował sześć powieści i kilkadziesiąt opowiadań. Był siedmiokrotnie nominowany do nagrody im. Janusza Zajdla (w tym za opowiadania „Piękna i graf” i „Czerwona mgła” z cyklu Ostatnia Rzeczpospolita), a otrzymał ją w roku 1996 za powieść „Kolory Sztandarów”, z cyklu Dominium Solarne. Laureat nagrody im. Pappia Chmiela za zasługi dla komiksu w Polsce. Za powieść „Czarny horyzont”, nominowany do nagrody im. Jerzego Żuławskiego w 2010.

Członek legendarnej literackiej grupy Klub Tfurcuf.

W pierwszej połowie lat 90-tych organizował konwenty, prowadził programy o popkulturze w radiu i telewizji, pisał felietony i recenzje dla miesięcznika "Feniks". Był redaktorem naczelnym „Magii i Miecza”, na łamach którego stworzył także system rpg „Strefa Śmierci”. Wydawał własne pismo prezentujące polską SF - „Voyager”.

Od 1995 roku związany z wydawnictwem Egmont, wydającym najważniejsze i najpopularniejsze dzieła polskiego i światowego komiksu. Sam pisał scenariusze komiksowe dla Przemysława Truścińskiego (ilustratora cyklu "Ostatnia Rzeczpospolita"), Krzysztofa Kopcia, Zbigniewa Kasprzaka, Vicara.

Za działalność wydawniczą i fanowską został wyróżniony m.in. odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej” przyznaną przez Ministra Kultury Dziedzictwa Narodowego. W roku 2013 r. za zasługi na rzecz rozwoju kultury i za pielęgnowanie pamięci o najnowszej historii Polski został uhonorowany medalem Złoty Krzyż Zasługi.

Interesuje się polityką, astronomią, historią, grami planszowymi. Grał w III lidze koszykówki w zespole AZS Politechnika Warszawska. Jest żonaty, ma dwie córki. Słucha ciężkiego rocka i poezji śpiewanej.